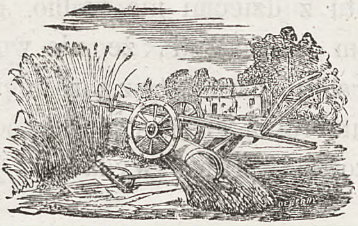
Tom II. 1. Października 1870. Nr. 10.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Żebracy.

Ciąg dalszy.

Kiedy przechodzący, co obdarzyli ofiarą kobiety z dziećmi, weszli do kościoła, a żebracy sami pozostali, ów rudy, co na bosaka i raz poraz przestępował z nogi na nogę, bo mu je ziębiła kamienna posadzka, teraz odwrócił się ku kobietom, i odezwał się głosem grubym i ochrypłym:

— Już że te baby zamęczą swoje dzieci, o tem ani gadać. Nieszczęście ich tu przyniosło.

— A potrzebnie je tu wpuściłeś? odezwała się baba jak grenadjer z czerwonemi jak u królika oczami — mówiłam ci, że to oszukanice, że sobie dzieci ponajmowały, ale ty taki gapa, że bez krzywasa nic sobie nie umiesz poradzić.

— A i jakże było radzić? — zapytał rudy.

— Jak? a wypchnąć na ulicę.

— Tak, tak, wypchnąć — odezwało się kilka głosów — one już po dwa razy dostały, a my ani razu.

— I tak zawsze będzie, wszystko nam zabierać będą z przed nosa — wrzasnęła baba grenadjer — bo ludzie na dzieci strasznie są litościwi.

Rudy posunął się ku udanym matkom i ściskając pięście, mówił przytłumionym głosem niby pies milczkiem kąsający: — poszły ztąd won! na ulicę, bo jak wezmę kija...

— Won! won! na ulicę! — zaszumiało znowu kilka głosów razem — tu z dziećmi nie wolno.

— A kto wam powiedział, że nie wolno? zapytał nagle jeden z dziadów, wysoki, barczysty z zarośniętą twarzą, z zasłoną na oczach zwaną umbrelką, i występując cokolwiek od ściany mówił dalej — kto ma prawo wydawać jakie rozkazy albo pozwoleństwa?

— Tak, tak, kto ma do tego prawo — potwierdziło kilka głosów widać należących do partji odzywającego się dziada, która z partją dziada zwanego krzywasem toczyła ciągle kłótnię o pierwszeństwo, i jedna drugą pragnęła wygryść albo wziąć pod swoje panowanie.

— A czegóż wrzeszczycie, czegóż tak krzyczycie? — zapytała baba grenadjer — krzywas niedługo przyjdzie, to wam wytłumaczy.

— Co tam nam z krzywasem wyjeżdżasz! — wrzasnęło kilka dziadów i potrząsając pięściami z największą nienawiścią, mówili dalej: — krzywas niech się sam pilnuje, żebyśmy go przez kij nie przesadzili.

— Doprawdy? — zapytała z szyderstwem baba grenadjer — zobaczymy, zobaczymy.

Rudy tylko się uśmiechnął wzgardliwie, potrząsł głową i przestąpił z nogi na nogę, pokazując przeciwnikom żylaste i groźnie wyciągnięte pięście.

— Tylko ty rudy także się pilnuj — odezwał się dziad z umbrelką, bo i ty tu niepotrzebny, a choć z krzywasem trzymasz, to równie ani się spostrzeżesz jak ztąd wylecisz.

— Doprawdy? — z równem jak wprzódy szyderstwem zapytała baba grenadjer, a rudy znowu się uśmiechnął i wyciągnął pięście. Na takie poniewieranie jednej partji przez drugą, powstało zamięszanie. Odezwały się pogróżki, przekleństwa, wymyślania, dzieci zaczęły płakać, kobiety krzyczeć i piszczeć, a gdy pokazały się laski i ręce do bitwy przygotowane, jedna schorzała staruszka pod każdym względem na miłosierdzie zasługująca, przez czas kłótni najpokorniej w kąciku odmawiająca pacierze, zwróciła się do dwóch niewidomych kalek, między któremi stała i chwytając jednego za rękę, odezwała się przestraszonym i drżącym głosem:

— Moi kochani weźcie mnie między siebie, bo widzę że się na bitkę zanosi. Ostatnim razem jak się bić zaczęli, jak mnie jeden popchnął, to przewróciłam się i tak mnie stratowali nogami, że potem przez dwa tygodnie leżałam w domu. Żeby nie litościwi ludzie byłabym pewno z głodu umarła.

— A czy już bić się zaczynają? — zapytał jeden z niewidomych.

— Już laski podnoszą — odrzekła staruszka wsuwając się między obrońców.

— To będzie bitka — odezwał się niewidomy i zwracając się do swego równie ślepego towarzysza mówił dalej: — Walenty! przysuń się bliżej mnie, i weźmy tę staruszkę za siebie. Jeżeli w bitce się przysuną, to trzeba pamiętać o sobie.

Obaj niewidomi zasłaniając zupełnie schorzałą kobiecinę, kije do odporu przygotowali. Tymczasem kłótnia nie ustawała, wrzawy i odgrożek było dosyć, kije i pięście ciągle wyskakiwały, ale do bitki jakoś nie przychodziło.

— Może się nie pobiją — odezwała się staruszka drżąc cała z przestrachu — dałby Bóg żeby się upamiętali, bo też tu choć pod kościołem taka się nieraz dzieje obraza Boska, że aż włosy na głowie powstają.

— Moja pani — odrzekł Walenty — my tu już drugi rok stawamy i dziękujemy Bogu, że w niedoli naszej mamy tylko uszy a oczy na wieki zasłonięte. Że też to tałałajstwo nie pozaganiają do pracy, do roboty.

— A kto im każe pracować? odezwał się drugi niewidomy — tu uzbiera sobie parę złotych, potem pójdzie na miasto, a wszędzie się wciśnie, wszędzie uprosi, to ma więcej jak na wyrobku.

— Moi panowie — odezwała się staruszka — ja stara ledwo chodzić mogę a Bóg moim świadkiem że każdy kawałek chleba co go ztąd pożywam, gorzkiemi obleję łzami i gdybym robić mogła, tobym temu ręce i nogi ucałowała coby mi dał jaką pracę żebym bez proszenia mogła zarobić na kawałek chleba. Ale Bóg tak chciał, widać ukarał mnie za dawne grzechy, niechże będzie święte Jego Imię pochwalone, bo choćbym chciała pracować, to i cóż zrobić kiedy i oczami

niewiele dowidzę, i ręce tak mi się trzęsą, że mi prawie wszystko z nich wylatuje.

— Hola! hola! — nagle odezwał się drugi niewidomy miarkując słuchem, że jakaś zgraja swarząca się podsuwa się ku nim — tylko od nas zdaleka, bijcie się jak chcecie, tylko rudasa nam dajcie pokój.

— Panie Walenty! zagadał dziad z umbrelką — powiedz sam czy nie mam słuszności? — krzywas obciera się między nami jakby był jakim starszym a do pomocy przyjął sobie i rej wodzi ani pyta.

— Nieprawda! wrzasnęła baba grenadjer — krzywas dobrze wszystko prowadzi, bo ich trzyma w porządku, tylko...

— Nieprawda! nieprawda! — wrzasnęła jedna część zgrai, gdy druga starała się ją przekrzyczeć wołając! prawda! prawda!

— Ale uspokójcie się — odezwał się niewidomy kaleka, ze wszystkich stron szarpany i ciągniony na sędziego — upamiętajcie się, przecież to święte miejsce.

Zgraja nie zważała na przestrogę i prowadząc sprzeczkę zaczęła się pomału rozchodzić na miejsca przez siebie zajmowane. Wówczas staruszka wysunęła głowę z pomiędzy swych obrońców, przerzuciła oczami i w prawo i w lewo i gdy zobaczyła że obawa bitwy minęła, odetchnęła swobodniej i rzekła nie opuszczając jednak swego ochronnego stanowiska:

— Tacy niedobrzy ludzie, to tylko szkodzą nam biedakom, bo jak kto usłyszy taką kłótnię a broń Boże zobaczy bitkę jak wtedy co mnie ledwo nie zabili, to pomyśli sobie, że wszyscy jesteśmy jednacy i nikomu nic nie da. Do tego tacy niedobrzy ludzie, do wszystkiego śmiali, tu się kłócą, biją na zabicie, wymyślają, ale niech się zdarzy jaki miłosierny człowiek, to tak umieją się nadstawić z ręką, tak prosić i lamentować, że zwykle dla siebie wszystko zagarniają. Ja nie mam takiego szczęścia bo stoję sobie w kąciku, serce zalewam łzami, że na starość muszę żebrać, i choć i z przechodzących możeby mi kto jaki grosz ofiarował, to mnie zastąpią, zasłonią, odepchną i często przez całe pół dnia nie uproszę nawet na chleb grosika. Dla tego radabym opuścić

miejsce przy kościele, ale nogi tak mi mdleją, że przez ulicę trudno mi przejść.

Kiedy tak prawdziwa nędza żali się na swe położenie, tałałajstwo żebracze wrzawą i kłótnią to cichszą to głośniejszą napełniało przedsionek koscielny. Wprawdzie kije i pięście pochowane zostały i bójka odbywała się na języki, ale niemniej zacięcie się toczyła, choć tylko półgębkiem i półsłowami. Najczynniejsi byli baba grenadjer i dziad z umbrelką, rudy nic nie mówił, tylko czasami potrząsał rudemi kudłami, uśmiechając się i wyszczerzając jak pies zęby i pokazując silne, żylaste pięście. Poruszenia tak wyraziste ogromnie przeciwników gniewały, zajadłość też ich głównie skierowała się na rudego, w którego obronie jedynie odzywała się baba grenadjer.

— Śmiej się, śmiej rudy psie — mówił dziad z umbrelką — nie takich jak ty djabli wzięli, to i z tobą to samo się stanie.

— Jutro ale nie dziś — mruknęła baba grenadjer — póty tu będzie, póki my będziemy chcieli.

— A cóż to wy za państwo takie? cóż to wy za królestwo? — wrzasnął dziad z umbrelką groźnie podsuwając się ku babie.

— No — no — tylko zdaleka — odrzekła baba — bo jak lunę kijem przez łeb.

— Co ty mnie kijem odgrażasz? — zapytał dziad z umbrelką tracąc zupełnie cierpliwość — a ty padalcze, gadzino, ty żmijo, nikczemny płazie...

Mówiąc to z pięściami ściśniętemi w kułak, z ustami zapienionemi, dziad wolno podsuwał się prosto ku babie. Zabierało się więc na bójkę, staruszka drżąca znowu zasunęła się za niewidomych, kalecy przygotowali kije i kiedy obie strony warcząc na siebie jak dwa brytany już miały się rzucić w bój zażarty, od końca szeregu żebraków dotykającego ulicy, dał się słyszeć głos:

— Krzywas idzie, krzywas!

Wszystko naraz jeden ucichło, każdy się w miejscu poruszył jakby w chęci przybrania najprzyzwoitszej postawy, jak jakie trusiątka i niewiniątka, a niektórzy nawet zaczęli szeptać pacierze przesuwając w ręku koronkę. Krzywas widocznie rej wodził między wszystkimi, i zgraję całą

postrachem utrzymywał w porządku i posłuszeństwie. Jeden tylko dziad z zasłoną na oczach zwany zwykle Umbrelką został na środku korytarza, ale i ten wprędce skulił ramiona, zasłonę nasunął na oczy i wolnym krokiem zaczął się posuwać ku swemu miejscu. Krzywas chłop barczysty, ze skrzywioną twarzą w ukos i jedną nogą krótszą od drugiej, zdrów jak ryba, a silny jak wół, poruszając ustami jakby pacierz szeptał, szedł wolno bystre spojrzenia rzucając po obu stronach żebraczej czeredy, jak dzielny wódz, gdy robi przegląd kolumny śmiałych wojaków. Czoło miał pochmurzone i oczy błyszczące gniewem, bo jeszcze z ulicy dosłyszawszy niezwyczajną wrzawę, domyslił się zwady. Na zakręcie korytarza spotkał się z umbrelką, przystanął, zmierzył go oczyma jakby dziwiąc się, że go tu znajduje, a nie w szeregu. Umbrelka także przystanął, ale nie śmiejąc spojrzeć na Krzywasa w milczeniu wodził oczami po ziemi. W korytarzu zapanowała cisza: krzywas spojrzał na babę grenadjera, potem na rudego i ścisnął pięście, że zdało się, iż zgniecie kij w ręku jak ciasto.

— Plugawcze! wrzasnął do Umbrelki — tu dla dziada miejsce? — Ruszaj mi zaraz do swego stanowiska.

— Mój kochany — odrzekł hardo Umbrelka — za nadto sobie pozwalasz. Już czas...

Krzywas nie dał mu dalej mówić, zarumieniony jak burak szybko zamierzył się i takiem go w twarz poczęstował uderzeniem że Umbrelka zachwiał się, jedną ręką sięgnął do głowy, a drugą wyciągnał jakby chciał Krzywasa chwycić za czupryne. Wówczas rudy jak jastrząb czychający na zdobycz, wyskoczył ze swej kryjówki, w jednym susie dotarł do zuchwałego dziada i po całym korytarzu rozległo się powtórne uderzenie w twarz jeszcze silniej i zręczniej wykonane. Umbrelka zachwiał się potoczył i gdyby nie ściana, o którą się oparł, z pewnością byłby się przewrócił. Rudy skulony, chował ręce pod spencerek i wracając do swego miejsca uśmiechnął się z tryumfem i złośliwością. Porządek zupełnie przywrócony został, a między żebractwem słychać tylko było szmer modlitwy, którą każdy szeptał nie śmiejąc się prawie w miejscu poruszyć. Czas już na to był wielki. Pobożni zaczęli nadchodzić gromadząc się na nabożeństwo, ze wszystkich stron ozwały się prośby,

błagania, a jaki taki patrząc na pokorne żebraków postacie, nie domyślając się sceny jaka przed chwilą miała miejsce, sięgnął do woreczka polecając dusze zmarłych modlitwie kłamanej niedoli. D. n.

ŁOKIETEK.

Trzykroć wygnaniec z tronu pradziada,
Pomiędzy wierne kmiotki się chowa;
Trzykroć powraca i dzielnie włada
Nasz król Łokietek w murach Krakowa
W trudach i znoju dożył wiek chwały,
Jak orzeł mężny, jak sokół szparki!
Och, szablę jego dobrze poznały
Pod wsią Płowcami krzyżackie karki!
A choć na łokieć ledwo wysoki
Łokietek duchem wzrósł pod obłoki.

Władysław Bełza.

DZIADEK.

Na dworze mroźno — szumi ulewa
Jakiś staruszek dąży do wioski,
Srebrzyste włosy wiatr mu rozwiewa
W ustach brzmi piosnka do Matki Boskiej.
Może on głodny, spragniony może?
Wynieś mu chleba, daj kubek wody!
Błogosławieństwo za to Ci Boże
Starzec uprosi druhu mój młody!
Bo najszczytniejszą cnotą na ziemi
Jest zlitowanie się nad biednemi.

Władysław Bełza.

Piotr Ostrowski,

braciszek w zakonie OO. Bernardynów w Warszawie.

Cudze chwalicie, swego nie znacie;
Sami nie wiecie, co posiadacie!

W cyrkule niegdyś bocheńskim, niedaleko od Wieliczki, leży niewielka wioska Raciborsko. Na początku teraźniejszego

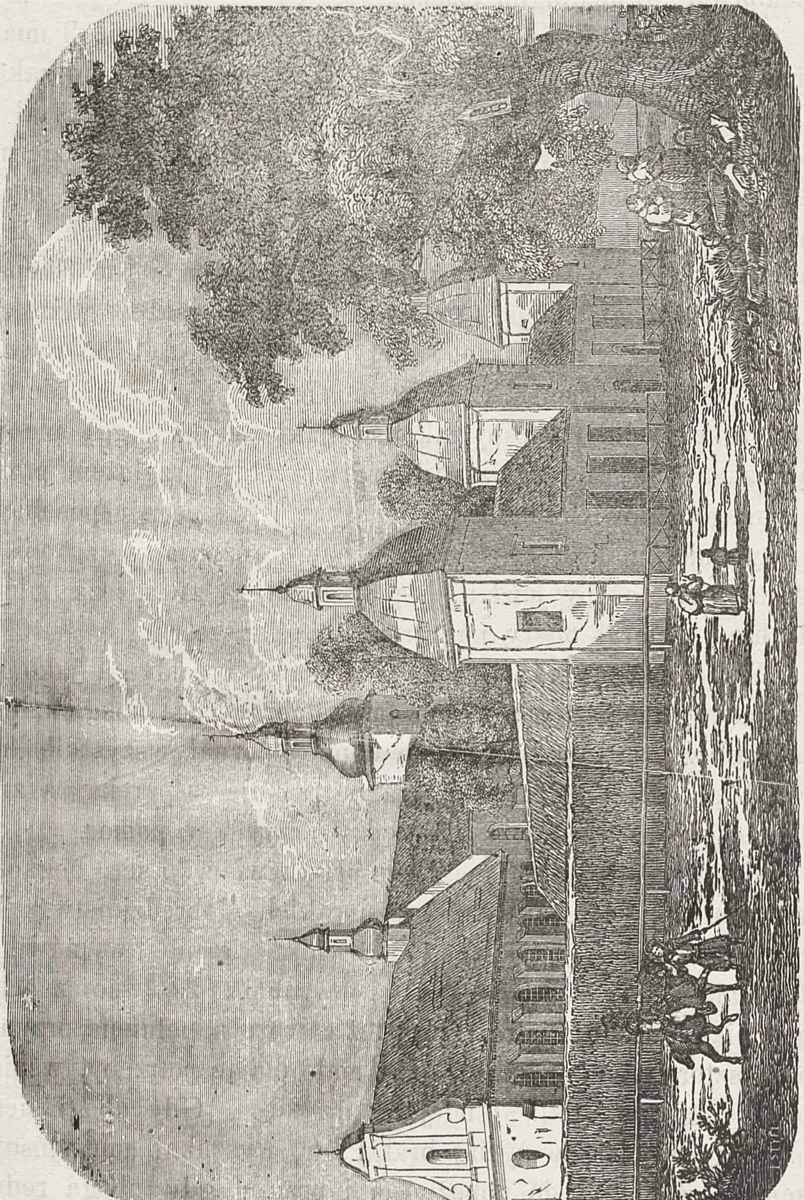
wieku żyło w niej dwoje pobożnych ludzi: Szczepan Ostrowski z żoną swoją Agnieszką. Byli to ludziska poczciwi, szanowani w gminie, bo z nikim, jakto mówią, kotów nie darli, ale swego patrzyli. Mąż doglądał gospodarstwa za domem, żona w domu, aby wszystko było pięknie i składnie. Dnia 19. grudnia 1811 roku pobłogosławił Bóg poczciwą tę parę synem, któremu na imię dali Tomasz. Wychowali oni go też prawdziwie po chrześciańsku, ćwiczyli w pokorze i innych cnotach, a że rodzice, jak powiedzieliśmy, byli poczciwi, to i syn ich pełen był łagodności i dobroci, i zawsze i wszędzie dobre okazywał obyczaje. Ojciec pokazywał mu przeróżne rzeczy, aby chłopca zaprawiać w myśleniu i pojmowaniu tego i owego. Mówią ludzie, że co ma wisieć, to nie utonie; kto jest dobrym, to zostanie dobrym i zawsze mu dobrze będzie na świecie. Tak samo stało się i z Tomusiem Rodzice ani przeczuwali, że on kiedyś będzie ich wielkim zaszczytem i że go znać będzie cała Warszawa, takie ludne i rozległe miasto.

Tomuś pomagał ojcu w gospodarstwie; każdą rzecz wykonał ochotnie i zręcznie, że się ojcu serce radowało. Nigdy nie był upartym i złośliwym, a komu tylko mógł, to dopomagał, a już nad biednymi ludźmi, to miał wielkie zlitowanie. Szkody nie robił nigdy, bo nie pragnął tego, co drugi posiada. Kiedy już miał lat dwadzieścia i dwa, przywołał go ojciec do siebie i tak powiada:

— Napracowałeś się już dosyć u mnie, czasby był, żebyś teraz pomyślał o sobie. Gospodarstwa odstąpić ci nie mogę, idź więc do rzemiosła, tam wnet wyuczysz się pracy, zaczniesz sam na siebie i będzie ci dobrze. Zresztą może za żoną weźmiesz gospodarstwo, to i nam lżej będzie na stare lata, a co my zaś uciułamy, to przy was zostanie. Tomuś usłuchał zaraz ojca i poszedł do rzemiosła. Pracował pilnie i uczciwie, ale po dwu latach przyszedł do przekonania, że nie dla niego rzemiosło i żona, ale usługa dla bliźnich i gorąca modlitwa dla Boga.

Ale bo też Tomasz nie robił tak nigdy, jak robią inni chłopcy w rzemiośle. On pracował przez cały tydzień, a w niedzielę szedł do kościoła, słuchał kazania, a w domu czytywał różne książki, aby oświecać swój umysł. Gdy zaś dostał grajcar za odniesienie roboty, to go składał i jak się dowiedział o jakiej

nieszczęśliwej osobie, to zaraz tam zanosił wszystkie pieniądze i ukrywał się z tem bardzo aby ludzie o tem nie wiedzieli. Wiedział bowiem dobrze, że co robi prawica, niechaj o tem nie wie lewica.



Klasztor w Skępem.

Aż jednego dnia przychodzi on do swojego majstra i mówi:

— Dziękuję wam, panie majstrze, pięknie za naukę, którą u was pobierałem przez dwa lata. Odchodzę od was już na

zawsze, bo porzucam rzemioslo i udaję się na tę drogę, którą mi Bóg kochany wskazuje głosem wewnętrznym. Nie gniewajcie się na mnie, bo ja działam sprawiedliwie i oszukiwać was nie chcę. Że się na marną nie puszczam drogę, to się o tem przekonacie w niedługim czasie.

Zmartwił się majster tą wiadomością, uwolnił Tomasza z rzemiosła, a on poszedł zaraz do Warszawy. Idzie do zakonu OO. Bernardynów i prosi o przyjęcie. Przełożony wypytał się go o potrzebne rzeczy i przyjął na próbę. Dnia 19 października 1834 roku obleczono Tomasza w habit i Piotr dano mu na imię. Młody braciszek sprawował się tak przykładnie, że go po roku posłano do klasztoru OO. Bernardynów do Skępego, naszego słynnego miejsca w powiecie lipnowskim, gdzie jest statua Bogarodzicy, ukoronowanej dnia 18 maja 1755 roku.

Tu odbył braciszek Piotr nowicyat, a 4. października 1836 roku zrobił profesję zakonną, jako że już nigdy nie wystąpi z zakonu. Był tu lat dwanaście. Gdy przełożeni poznali że z niego człowiek cnotliwy, uprzejmy i wesołego usposobienia, że się umie znaleźć pomiędzy panami różnymi, — zrobili go kwestarzem, ażeby jeździł między ludzi, a zwłaszcza między szlachtę i zbierał ofiary na utrzymanie klasztoru.

W roku 1848 przybył do Warszawy i zasłynął jako niezrównany kwestarz, a przytem jako dobroczyńca ubogich ludzi. Chodząc z puszką od domu do domu, poznał wszystkie kąty i wiedział gdzie nędza poczciwa potrzebuje wsparcia, a znów gdzie się udać trzeba, by tej nędzy przyjść w pomoc.

Umiał on dziwnym sposobem przemawiać do serc bogaczów i skłaniał ich do czynienia różnorakich dobrodziejstw. Tak umiał ująć i zachęcić każdego, że nikt się nie wymówił od udzielenia datku. Bogacz jak i wyrobnik zarówno z ochotą wypełniali puszkę Piotra, którą też zawsze napełnioną przynosił do klasztoru. Sam nadzwyczajnie małe mając potrzeby, wspierał ubóstwo lub wyszukiwał miejsca przytułku. Gdy ubogi sierota nie miał sposobu do życia, brał Piotr, wyszukał mu stósowne miejsce i zachęcał do pobożności i pracy; gdy uboga rodzina nie miała czem opędzić swoich potrzeb, on wnet wyszukał dla niej łaskawych dobrodziejów i zapewnił jej przyszłość; gdy uboga wdowa konając na śmiertelnem łożu, zostawiała opuszczone

sieroty, brał Piotr, wyszukał dla nich opiekę a matce wyprawił pogrzeb, boć to był prawdziwy opiekun wdów, sierót i w nędzy zostających ludzi. Nie wstydził się on nosić dla nich rzeczy do żywności, starych sukień a nawet i drzewa, bo to dla niego największa była przyjemność. A najbardziej lubiał on wyszukiwać takie rodziny, które rzeczywistą cierpiały nędzę a wstydziły się wyciągnąć rękę po jałmużnę. Takim ludziom najspieszniejsza należy się pomoc.

Bogacze z pełnem zaufaniem powierzali pieniądze bratu Piotrowi, albowiem mocno byli przekonani, iż z nich jak najlepszy zrobi użytek.

W pewnym domu na strychu mieszkała nędzna rodzina w bardzo opłakanym stanie. Ojciec był dawniej wojskowym i pobierał bardzo szczupłą pensyjkę, która zaledwie na lichą strawę i ubogą izdebkę wystarczała. Ale nie było za co się ubrać; dla tego skołatany ojciec od bardzo długiego czasu nigdzie nie wychodził. Matka od roku już nie opuszczała łoża, bo ją na nie ciężka powaliła choroba Rodzicom usługiwała córka, która się ubierała w resztki ubioru matki. Nie wiedzieć jakiby był koniec nieszczęśliwej tej rodziny, gdyby brat Piotr jako anioł opiekuńczy nie był zaglądnął w dotkliwe jej położenie.

I myślicie może, że on szukał w tem chluby? Oj nie! Chował on wszystko w największej tajemnicy i dopiero po śmierci dowiedziano się o niektórych jego uczynkach miłosiernych, opartych na prawdziwej miłości chrześcijańskiej.

Ale może myślą niektórzy, iż on tylko starał się o wsparcie dla ubogich ludzi, a tem samem pobudzał ich do leniwstwa? O i tak nie czyniła szlachetna ta dusza. Gdzie nie można było wymagać pracy, tam nosił wsparcie, w innych razach otwierał sposobność do pracy i zarobku bo lenistwa wielkim był nieprzyjacielem. A że tak myślał, dowodzi ta okoliczność iż chciał dożyć w życiu swojem tej pociechy, by się mógł przyczynić do utworzenia zakładu w którymby ubogie dzieci oprócz wychowania pobierały taką naukę iżby się gruntownie znały na roli a potem wychodzić mogły na urzędników wiejskich.

Znając dokładnie potrzeby biednych ludzi, sam napisał projekt do utworzenia takiego zakładu, lecz śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu wypełnić zamiaru swojego.

Rolnictwo cenił on bardzo wymyślił na et narzędzie do zdzierania mchu na łąkach.

Widzicie więc z tego jakie to czynne i piękne było życie człowieka z pod słomianej strzechy! I jako kwestarz umiał on czynić dobrze i mieć szacunek u najmożniejszych panów a położył przedewszystkiem największą zasługę u Boga. Pokazuje się tedy, że człowiek w każdym stanie może pięknie postępować i służyć należycie Bogu i bliźnim swoim. Brat Piotr każdemu może być wzorowym przykładem.

Służył on poczciwie klasztorowi swojemu, wiernie wypełniał włożone nań obowiązki a nadto na usługi nędzy poświęcił swoje zdrowie. Z tego powodu braciszek ten kochanym był od wszystkich i więcej niż niejeden dostojnik miał przyjaciół.

Gdy się dowiedziano o jego chorobie, głęboki smutek pokrył serca mieszkańców Warszawy. Jeden z znaczniejszych dobroczyńców wziął chorego do siebie, by go pielęgnować i najlepszą dać mu wygodę. Ale i lekarstwa i doktorzy nic nie pomogli; na dniu 25 stycznia 1859 roku zakończył chwalebny swój żywot. W czasie chowania zwłoków jego w grobach kościelnych u OO. Bernardynów płacz i lament był nie do opisania. Wdowy i sieroty straciły jałmużnika i opiekuna, biedni ludzie swego doradzcę i pocieszyciela.

Dzisiaj odpoczywa on w Bogu, ale pamięć jego żyje; żyją jego śliczne uczynki, żyją zasługi, dla tego śmiało o nim powiedzieć możemy:

Kto dobrze działa, z cnót swe życie przędzie,
Ten chociaż umrze, to jeszcze żyć będzie.

Józef z Bochni.

Klasztor OO. Bernardynów w Skępem.

W opisie życia Piotra Ostrowskiego była wzmianka o Skępem, gdzie miłosierny ten kwestarz przebywał lat kilka. Abyście o tem miejscu lepsze mieli pojęcie, opowiemy wam tu o niem w krótkości.

Jak długie i szerokie jest Mazowsze, jak długa i szeroka jest cała Polska — wszędzie słynie Skępe, bo tam jest cudowny obraz Matki Boskiej, do którego przybywają od dawien dawna pobożni pielgrzymi i przedkładają tu prośby swoje. Ale bo też nie raz i nie dwa doznano tu cudu, nie raz nie dwa doznano ulgi w cierpieniu, to też i małe dziecko w Mazowszu wie o Skępem. A leży ono w dawniejszej ziemi dobrzyńskiej, a dzisiaj w gubernii płockiej, w powiecie lipnowskim, pomiędzy pięcioma jeziorami na ziemi piaszczystej w około lasami otoczonej, niby na kępie jakiej, i ztąd zapewne pochodzi jego nazwisko. Dawniejszemi czasy byli tu sami pobożni chrześcijanie, dziś i żydów tu nie mało. A starożytne to już miasteczko, bo 1445 roku założone na mocy przywileju króla Władysława Warneńczyka. Dzisiaj jest własnością państwa Zielińskich, i posiada 139 domów. Koło miasteczka znajduje się wzgórze, zwane górką biskupią a to z tej racyi, że tu 1700 r. schronił się Konstanty Zieliński, arcybiskup lwowski, który trzymał stronę króla polskiego Leszczyńskiego nie cierpiąc Augusta, Sasa, i tu schwytany został od przeciwników.

O dwa tysięcy kroków od miasteczka leży wioska Wymyślinie, gdzie stoi klasztor OO. Bernardynów. W bardzo dawnych czasach prowadziła tędy droga do miasteczka, a przy niej leżał wielki kamień. Przechodzący tędy ludzie robili krzyżyki na tym kamieniu, a kto przeszedł westchnął sobie i mówił pacierz. Po niejakim czasie widywano tu wielką jasność a potem nad tym kamieniem pokazywał się obraz Matki Boskiej. I schodzili się tu ludzie, modlili się gorąco, a gdy ten i ów doznawał szczególnej łaski, inny cudownie został uzdrowionym, zgodzili się ludzie na to, by na tem miejscu postawić krzyż z ukrzyżowanym Zbawicielem. Jakoż tak się stało, a ludzi coraz to więcej przybywało w ono miejsce gdzie Bóg widocznie obdarzył ich swojemi łaskami. Aż 1495 roku przychodzi aże z Poznania ubogi mieszczanin do Skępego, idzie do miejscowego kasztelana ks. Mikołaja Kościeleckiego, proboszcza kapituły kujawskiej a później biskupa Chełmińskiego, i tak powiada:

— Niedawno miałem sen dziwny. Pokazała się mi postać Matki Boskiej, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem, i kazała mi

iść do Skępego, bym się wstawił i upomniał wyraźnie, że Najświętsza Panna pragnie być w tem miejscu, bo je sobie szczególnie upodobała.

Pobożny proboszcz wysłuchawszy z uwagą zeznania mieszczanina, zwołał ludzi, opowiedział im rzecz całą i wkrótce po zniesieniu krzyża wybudował drewnianą kaplicę, którą uroczyście poświęcono pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny. Wtenczas właścicielami Skępego byli państwo Kościeleccy. Mieli oni córkę Zofiję, która w ciężką zapadła chorobę. Polecono ją opiece Najświętszej Panny. Wkrótce zupełnie odzyskała zdrowie. Wdzięczna kasztelanka, chcąc za to kaplicę pięknym ozdobić obrazem, jedzie do Poznania, co to leży w Wielkopolsce, by wybrać jaki najpiękniejszy u tamtych malarzy. Chodzi od jednego do drugiego, ale nigdzie nic pięknego napotkać nie może. Idzie tedy do ostatniego i pyta o piękny obraz Najświętszej Panny.

— Takiego obrazu nie mam wcale!—odpowiedział malarz roztwierając szafkę z obrazami.

Wtem kasztelanka obaczyła w szafce dziwnie pięknej roboty snycerskiej statuę Najświętszej Panny z założonemi na piersi rękami—i pokazuje ją malarzowi.

— Na Boga! — zawołał zdziwiony malarz — to jakieś cudowne zjawienie! Statuy tej nigdy w życiu nie widziałem, ani jej nie robiłem....

Słucha tej mowy również zadziwiona kasztelanka, a malarz mówi dalej w pokorze:

— Kiedy już takie zrządzenie Boże, proszę, weź pani ten obraz i umieść go w jakiem cudownem miejscu, niech ludzie korząc się przed nim błagają Najświętszej Matki o wszystko dobre!...

Ucieszona kasztelanka dziękuje gorąco malarzowi i wiezie statuę do Skępego i umieszcza ją w nowej kaplicy. A było to 1496 roku. Odtąd tłumy ludzi przychodziły do tego cudami słynącego miejsca, tak że kaplica nigdy ich pomieścić nie mogła. Ani służby Bożej nie można było odprawiać należycie, ani umieścić darów, jakiemi chciano przyozdobić święte to miejsce. Ksiądz Mikołaj Kościelecki buduje tedy 1498 obszerny kościół i z miasta Koła sprowadza zakonników św. Franciszka,

których od kościoła ich w Krakowie Bernardynami nazwano. A kiedy gorliwy ten kapłan 1511 roku już był biskupem Chełmińskim, przyjechał do Skępego i poświęcił klasztor murowany. Później z pobożnych darów przybyło kilka kaplic, a królowie potwierdzili przywileje klasztoru. W 1754 roku zjechała tu duchowna komisyja, aby się przekonać wiarogodnie o doznanych cudach. Ponieważ mieszkańcy Skępego zeznali pod przysięgą zupełną prawdziwość rozlicznych cudów i komisyja przekonała się o rzeczywistej czci, jaką oddawano Najświętszej Pannie, napisała na mocy świadectw prożbę do papieża Benedykta XIV o zezwolenie na koronacyję cudownej statuy. Papież zezwolił zupełny odpust. Jakoż 17. maja 1755. roku w samą wiliję Zielonych Świętych z kościoła parafialnego z Skępem wyruszył orszak ludzi z największą uroczystością. Ksiądz infułat Strzelnoski, otoczony duchowieństwem i niezliczonemi tłumami ludzi ze światłem, postępował powoli za tryumfalnym wozem, najgustowniej przystrojonym, a huk dział, muzyka i pobożne pieśni bez przestanku wstrząsały powietrze. Przybywszy do lasku, złożono koronę w kaplicy.

Na drugi dzień pod przewodnictwem ks. biskupa Plaskowskiego przez liczne bramy przeniesiono dopiero koronę do kościoła i złożono ją na wielkim ołtarzu.

Po uroczystem nabożeństwie wśród huku dział, dzwonów i pieśni uwieńczył ksiądz biskup koroną skronie Najświętszej Panny, a na pamiątkę tego wydarzenia jest w Skępem corocznie odpust przez całą oktawę Zielonych Świątek. Od tego czasu sława cudownej statuy rozbiegła się na krańce ziemi polskiej i mało jest ludzi, którzyby o niej nie słyszeli.

Klasztor podnosił się coraz więcej, aż 1767 roku z pobożnych składek zgromadzenie zakonników odnowiło i ozdobiło go całkowicie, jak go dzisiaj widzieć można. Obrazek przedstawia dokładnie, jak zewnątrz wygląda.

Wnętrze kościoła jest pięknie malowane przez braciszka tego zakonu Kazimierza Żebrowskiego. W wielkim ołtarzu pomiędzy ośmioma statuetkami świętych jest owa drzewiana statua Najświętszej Panny, w dziecinnym wieku, z koroną na głowie, otoczona u góry dwunastoma gwiazdami. Stoi, mając ręce złożone, na księżycu, który po bokach trzyma dwóch

aniołów. Wszystko ze srebra, tylko sukienka i korona pozłacane. Najświętsza Panna ma wyraz anielskiej niewinności.

W okolicy jest wiele snycerzy, którzy wyrabiają statuy z drzewa bardzo dobrze naśladowane. Koło kościoła jest korytarz, w którym odprawia się nabożeństwo krzyżowej drogi.

Cały klasztor w okolicy tamtejszej wygląda bardzo malowniczo, a podczas odpustu, to już trzeba malarza, żeby to wszystko odrobił, co się tu przedstawia oku.

Tyle o tym klasztorze. Udawajmy się tam myślą i zasyłajmy prośby do Najświętszéj Panny o lepsze czasy, kiedy sami tam być nie możemy, a Ona wyprosi u Syna szego, o co Ją błagamy. *Józef z Bochni.*

Rozmaitości.

— Pisma dla ludu w Poznańskiem. W tej części ziemi naszej wychodzą także pisma i wydawnictwa ludowi poświęcone. Najpierwsze miejsce między pismami dla ludu tamże trzyma „*Przyjaciel ludu;*“ pismo to wychodzi w Chełmnie, i jest pismem politycznem; podaje wiadomości z tego co się w świecie teraz dzieje, o wojnie, o bitwach i t. d. Pismo to jest bardzo dobrze pisane, i nader zacne. Dalej wychodzi w samym Poznaniu „*Przyjaciel dzieci.*“ Aleć nietylko dzieci on jest przyjacielem; podaje on wiele ciekawych i pouczających rzeczy, że i stary człowiek chętnie przeczyta, i zabawi, i pouczy się. Podaje przyjaciel dzieci różne wiadomości i nauki, podaje Żywoty Świętych, mianowicie patronów polskich, opisy miast, kościołów, krajów różnych, narodów, a przytem wszystkiem nieraz ciekawą rozpowie powiastkę, i wierszykiem ładnym zabawi, co go to i nauczyć się warto. Ma też i obrazki ładne, że jest na co popatrzeć. A nieuwierzylibyście jakto tanie, kosztuje od kwietnia aż do końca roku 17 groszy, (na nasze pieniądze wyniesie to 1 złr). Z tamtego roku Przyjaciel dzieci na nasze pieniądze wyniesie 50 centów tylko! Wydaje tego Przyjaciela dieci p. Chociszewski w Poznaniu. Waszym dziatkom, kochani czytelnicy, jako niemniej i wam samym polecamy to pisemko.

— Piękny przykład. Pan Konstanty Rucki, właściciel Machowa (w powiecie Tarnobrzeskim) kazał znieść karczmę stojącą naprzeciw jego dworu; plac zaś, na którym karczma stała wraz z podwórzem i pozostałym murem darował gminie pod warunkiem postawienia na nim szkoły. To samo uczynił i dla włościan drugiej wsi swojej, Ocice. W Machowie stoi budynek gotowy dla szkoły. Pan Rucki zamierza nie stawiać żadnej innej karczmy w swych majętnościach. Oby ten przykład nie został bez naśladowania, — oby wiele gmin swoje karczmy na szkółki poprzemieniać mogło, których taki jeszcze brak w naszym kraju, że bardzo wiele gmin wcale ich nawet nie posiada.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza